



FUNDACJA
IM. STEFANA
BATOREGO

Warszawa, maj 2016

Polityka europejska rządu Prawa i Sprawiedliwości. Dyskusja

Publikujemy zapis dyskusji *Polityka europejska rządu Prawa i Sprawiedliwości* z udziałem Konrada Szymańskiego, sekretarza stanu ds. europejskich w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP. Spotkanie zostało zorganizowane przez Fundację im. Stefana Batorego w dniu 10 czerwca 2016. Punktem wyjścia do rozmowy był pierwszy z serii raportów o polskiej polityce zagranicznej, zatytułowany *Jaka zmiana? Założenia i perspektywy polityki zagranicznej rządu PiS*. Zdaniem jego autorów – Adama Balcera (WiseEuropa), Piotra Burasa (warszawski biuro Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych – ECFR), Grzegorza Gromadzkiego (Fundacja Batorego) oraz Eugeniusza Smolara (Centrum Stosunków Międzynarodowych) mamy do czynienia z głęboką redefinicją obowiązujących od początku 1989 roku paradygmatów w polityce zagranicznej, związaną przede wszystkim ze stosunkiem rządu do Unii Europejskiej.

Konrad Szymański:

Raport *Jaka zmiana? Założenia i perspektywy polityki zagranicznej rządu PiS* zaczyna się od mocnej tezy: mowa jest o „najpoważniejszej od ćwierćwiecza reorientacji w zakresie polityki zagranicznej”. Teza ta powraca w całym tekście, ale już we wstępie raportu pada zastrzeżenie, które mnie trochę zaskoczyło. Autorzy piszą, że co prawda mamy do czynienia ze wstrząsem, ale nie będą zajmowali się elementami ciągłości, a skupią się wyłącznie na elementach zmiany w polityce zagranicznej. To może zaprowadzić na manowce, bo według takiej metodologii rysuje się karykatury czy pastisze, ale nie wierny, realistyczny obraz. Tymczasem po pracy analitycznej osób z czterech istotnych instytucji, które od dawna zajmują się kwestiami polityki zagranicznej, spodziewałbym się wręcz hiperrealistycznego obrazu.

Prawda jest taka, że co prawda polityka zagraniczna nowego rządu oznacza zmianę, skoncentrowaną na walce o podmiotowość w relacjach z partnerami, ale zasadnicze kierunki polityki zagranicznej, oparte na prozachodniej polityce współpracy w ramach UE, NATO, na silnych relacjach transatlantycznym, pozostają niezmienione. To wielki przywilej Polski, że nawet zasadnicza zmiana polityczna nie oznacza podważania strategicznej orientacji polityki polskiej.

Moje zaskoczenie było jeszcze większe, kiedy ze wstępu dowiedziałem się, że w raporcie nie będzie mowy o faktach, ale o założeniach koncepcyjnych czy ideowych. To znajduje potwierdzenie

w kwerendzie cytatów i komentarzy dotyczących stanu Polski i Europy. Powiedziano wyraźnie: skupiamy się na wymiarze ideowym, nawet jeśli w praktyce działania nie są dokładnym odwzorowaniem idei.

Według mnie, są to złe założenia metodologiczne, które muszą prowadzić do przejawionych konkluzji. Jeżeli tak ustawimy spór, to znajdziemy się na prostej drodze do poszukiwania czegoś na kształt „myślozbrodni”, czyli utrzymanych w psychologii podejrzeń tez, że niektórzy uczestnicy polityki zagranicznej czy polityki europejskiej co prawda zachowują się podobnie do innych, ale z pewnością mają złe intencje i w ich działaniach istotną rolę odgrywają złe emocje.

W tekście wskazane są przynajmniej dwie takie „myślozbrodnie”. Jak na raport o polityce zagranicznej, zaskakująco dużo miejsca poświęcono założeniom dotyczącym kształtu wspólnoty politycznej, narodu czy suwerenności. To są oczywiście ciekawe i fundamentalne założenia, ale sugerowanie, że ze złe ufundowanego pojęcia narodu czy suwerenności wynikają rozliczne dysfunkcje w polityce europejskiej, jest osadzeniem mocnych tez na grząskim gruncie.

Gdybym chciał zacząć od polemiki z tą częścią analizy, to mógłbym przedstawić wiele poglądów, które narodu i suwerenności nie sytuują w tak fundamentalnej kontrze do procesu europejskiego. Czytałem wspomniany raport i jednocześnie korespondencję Pawła Hertza do Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów¹. Chciałbym wykorzystać jeden cytat z tych listów, z lat 50. ubiegłego stulecia, dotyczący tego problemu. Hertz pisze, że grzech przeciw pojęciu Europy polega na wyobrażeniu, iż można do niej należeć bezpośrednio, z pominięciem przynależności do określonego zbiorowiska narodowego oraz z pominięciem obowiązku pracy nad zagadnieniami palącymi dla owego zbiorowiska. To jest poziom metapolityczny, dobrze odpowiadający metapolitycznym rozważaniom raportu, poziom, z którym ja się identyfikuję (Paweł Hertz jest dobrym autorem, bo poza podejrzaniem o złe, endeckie sumienie).

W raporcie pojawia się również aluzja do endecji, w moim przekonaniu „przestrzelona”: jeżeli snujemy rozważania o tym, kto był prookcydentalny i promodernizacyjny, a kto nie, to pamiętajmy, że endecja w XIX i XX wieku była *par excellence* siłą modernizacyjną i okcydentalną. Podobnie jak polski konserwatyzm, endecja w jakimś sensie była odwrócona bokiem do polskiej tradycji I Rzeczypospolitej. Można by nawet postawić tezę, że szła tropem sugerowanym przez Autorów raportu, czyli w dużym stopniu tropem kopiowania rozwiązań zachodnich. Na przykład oczywiste było anglofilstwo Romana Dmowskiego, w szczególności na początku tego ruchu. Można by nawet postawić tezę, że eksperymenty młodzieży endeckiej czy postendeckiej z lat 30. ubiegłego wieku też były rodzajem kopiowania Zachodu, co zresztą nie zaprowadziło ich w bezpieczne rejony. Ale odłóżmy na bok kwestię metapolityczną.

Jeżeli dzisiaj rozważamy problem narodu i suwerenności w kontekście integracji europejskiej, to dotykamy fundamentalnego problemu Unii Europejskiej, a mianowicie sposobu legitymizacji procesu europejskiego. To nie jest już problem wydumany, ale kwestia istotna dla przetrwania projektu europejskiego. Dzisiaj dyskurs legitymizacyjny jest centralnym problemem Unii Europejskiej. To prawda, obóz rządzący obecnie w Polsce jest przekonany, że właściwą metodą legitymizacji decyzji podejmowanych przez Unię Europejską – jak na organizację międzynarodową to są decyzje daleko idące, detaliczne i wiążące – może przebiegać tylko i wyłącznie poprzez demokrację narodową, innej demokracji po prostu nie mamy. To jest pozytywny kontekst dla integracji europejskiej: kiedy narody i państwa mają szansę wziąć odpowiedzialność za ten proces oraz mogą poczuć się w końcu odpowiedzialne za jego przetrwanie.

¹ Paweł Hertz, Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Korespondencja*, t. I-II, Warszawa 2016.

Dzisiaj kolejnym istotnym, technokratycznym problemem jest to, że projekt europejski jest porzucany przez kolejnych aktorów. Dzieje się tak dlatego, że w wielu państwach członkowskich istnieje poczucie, iż traci się wpływ na ten proces integracji i nie ma wystarczających narzędzi do jego kontroli. Oczywiście, wyważenie między tymi wartościami jest istotne. Nie chodzi o to, aby doprowadzić do renacjonalizacji, jednak położenie większego ciężaru odpowiedzialności za ten projekt na państwach członkowskich to – w naszym przekonaniu – warunek konieczny, aby ten projekt w ogóle przetrwał. Inaczej zostanie porzucony i zwiędnie gdzieś na marginesie.

Drugą „myślzbrodnią”, wskazaną w kontekście założeń koncepcyjnych wytropionych w myśleniu wielu autorów czy autorytetów intelektualnych skupionych wokół Prawa i Sprawiedliwości, jest europesymizm. W ten sposób rzecz ujmując, europesymizm panuje od Lizbony po Tallin, ponieważ nie ma dzisiaj istotnego ośrodka politycznego, nie ma państwa członkowskiego, które by wkraczało na scenę debaty europejskiej, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Ten europesymizm, jakkolwiek zdefiniowany – może mieć charakter ekologiczny, nacjonalistyczny, a również liberalny, bo różne grupy społeczne są zawiedzione projektem europejskim – jest konieczny. Konieczne jest nazwanie, na czym polega choroba tego procesu, nie po to, aby ją pogłębić, ale do tego, żeby z tej choroby wyjść. Oczywiście mam świadomość tego, że nie wszyscy chcą z tej choroby wyjść. Niektórzy chcieliby, żeby ta choroba trwała i się pogłębiła. Jednak na pewno nie można tej sugestii adresować do każdego, kto zwraca uwagę, że projekt europejski stanął przed poważnym problemem i musi podlegać procesowi adaptacji.

To skutkuje, oczywiście, spadkiem zaufania do tradycyjnych elit politycznych. Niewielu z nas spodziewałoby się, że w Austrii kluczowym wyborem politycznym będzie wybór między kandydatem Zielonych a kandydatem narodowym. To jest nowa sytuacja, która coś mówi o stanie kultury politycznej jednego z krajów członkowskich Unii Europejskiej, oraz jaskrawa ilustracja zachodzących zmian.

Dotychczasowe instrumentarium – także w zakresie filozofii politycznej – musi podlegać adaptacji. Już nie wystarcza filozofia polityczna lat 90. ubiegłego stulecia. Czasami taka adaptacja odbywa się przez wtargnięcie nowych aktorów, często nieuczestnych, opartych na jednym przekonaniu czy lekturze jednej książki. Faktem jest pojawienie się eksperymentalnych sił politycznych. Czasami dochodzi do przyspieszonej adaptacji sił głównego nurtu. Proszę zobaczyć, w jaki sposób zmienia się język polityczny francuskich republikanów. To tworzy nową sytuację.

Tych zmian nie unikniemy. Oczywiście, nie twierdzę, że każdy rodzaj adaptacji i każdy proces ewolucji jest dobry. Widzę również ewolucję w kierunku, który będzie szkodliwy dla Europy, dla Polski i dla regionu. Potrzeba adaptacji wyrasta z przekonania, że jakieś istotne aspiracje – proporcjonalnie bądź nieproporcjonalnie – nie są zaspokojone przez proces europejski.

Te błędy metodologiczne: błędy założeń czy psychologia podejrzeń, silnie reprezentowana w raporcie, prowadzą do błędnych konkluzji. Gdybym chciał odpowiedzieć na pytanie, jak jest naprawdę, to musiałbym podkreślić to, czego w raporcie nie ma. Chciałbym podkreślić, że Polska jest w uprzywieleżowanej pozycji, zarówno w kontekście regionu, jak i szerzej. Pozycja kraju, w którym dokonuje się fundamentalna zmiana polityczna, nie skutkuje postawieniem znaku zapytania nad strategicznymi elementami polityki zagranicznej. Mam tu na myśli jedność Zachodu jako naczelną paradygmat naszej polityki. Ta jedność w oczywisty sposób jest reprezentowana przez NATO i Unię Europejską. Tego przywileju nie ma wiele państw członkowskich Unii, gdzie istnieje wysoki poziom lęku, czy zmiana polityczna nie przyniesie podważania, a nawet unieważnienia przynajmniej niektórych paradygmatów, które, wydawało nam się, są dane raz na zawsze i oczywiste.

W Polsce tego problemu nie mamy. To nie oznacza, że nie odczuwamy potrzeby uczestniczenia w procesie adaptacji do nowej sytuacji zarówno NATO – co jest akurat ćwiczeniem niekontrowersyjnym, bo wszyscy się przyzwyczaili, że NATO trzeba zmieniać i nikt nie oponuje – ale również Unii Europejskiej. Jednak proces adaptacji Unii jest dużo bardziej skomplikowany, bo też jej organizacja jest bardziej złożona. Unia obiecała dużo więcej, w związku z czym proces adaptacji jest trudny, ponieważ różnym uczestnikom tego procesu nie podobają się różne rzeczy.

Mamy dzisiaj przed sobą istotne ryzyko dekompozycji Unii Europejskiej. Warto jednak zwrócić uwagę, że żadne ze źródeł tej dekompozycji nie bije w Warszawie. Jednym z tych źródeł jest wciąż nierozwiązany kryzys strefy euro. W Polsce z sympatią patrzymy na zasadę odpowiedzialności fiskalnej, która dominuje na Północy. Powiedzmy jednak sobie szczerze, że kraje Południa mają powody do wątpliwości, jak ta fiskalna odpowiedzialność jest aplikowana w strefie euro. To powoduje, że napięcie związane z kryzysem w tej sferze nie mija. Co więcej, może ono powrócić z olbrzymią siłą, ponieważ wyczerpują się zdolności do żyrowania sanacji strefy euro na Północy. Widać to również w procesach wyborczych i w zmianach opinii publicznej.

Drugim aspektem jest polityczny niepokój, przekładający się na zmiany w parlamentach narodowych, związany z utratą kontroli nad migracją. Sam proces migracji trwa w Europie od 20–30 lat i niekoniecznie powodował zachwiania polityczne. Dzisiaj mamy do czynienia z nową jakością. W Europie rosną grupy społeczne, które mają poczucie, że straciliśmy kontrolę nad tym procesem. Możemy mieć taki lub inny stosunek do społeczeństwa otwartego czy zamkniętego, statycznego bądź dynamicznie się zmieniającego, ale nikomu się nie podoba fakt – a świadomość tego jest coraz głębsza – że ten proces przebiega poza nami.

Przyzwyczailiśmy się do sytuacji, kiedy nasze elity przy pomocy wysublimowanych regulacyjnych narzędzi, kultury administracyjnej i politycznej są w stanie kontrolować i moderować procesy społeczne. Dzisiaj rosnące grupy społeczne w Europie mają powody, aby sądzić, że w kontekście migracji nie panujemy ani nad przyszłością kulturową, ani nad przyszłością społeczną. To trudne do uchwycenia zagadnienie, bo akurat kwestie gospodarcze można mierzyć wskaźnikami, opisywać i obiektywizować. Natomiast problem migracji wywołuje rozproszony lęk, dotyczący kwestii egzystencjalnych, dlatego reakcje na tę kwestię są bardziej wyraziste.

Aspekt trzeci, wyjątkowo ważny dla nas. To nie kraje Europy Środkowej, a na pewno nie Polska, spowodowały, że dzisiaj w Unii Europejskiej zmniejsza się stopień ambicji, jeżeli chodzi o odpowiedzialność za świat zewnętrzny. To nie Europa Środkowa jest winna temu, że klęską zakończyło się promowanie modelu europejskiego na zewnątrz (jednym z przejawów tego promieniowania była polityka sąsiedztwa). Są kraje, które same stwierdziły, że nie podoba im się ten technokratyczny proces, pełny wymagań, w gruncie rzeczy niedający nic w zamian, w szczególności nic politycznie atrakcyjnego.

Są jednak kraje, które cały czas z uporem, wbrew wszystkiemu, chcą uczestniczyć w tym procesie. Mam na myśli Gruzję i Ukrainę. Co one uzyskują ze strony Europy? Nie ze strony Polski, bo te sygnały idą ze strony Zachodniej Europy, którą Państwo podsuwacie jako model do kopiowania. Gruzja i Ukraina uzyskują sygnał: „Co prawda spełnacie wszystkie warunki techniczne ruchu bezwizowego, ale go nie otrzymacie dziś, bo mamy znowu przejściowe problemy. Jak je rozwiążemy, to wrócimy do rozmów”. Ukraina otrzymała po referendum w Holandii wyjątkowo zimny i nieprzyjemny prysznic, sygnał dla wszystkich proeuropejskich sił na Ukrainie. Być może uda nam się wyjść jakoś z tego zakrętu, być może uda się uchronić ruch bezwizowy w obu tych krajach. Jeżeli jednak nam się nie powiedzie, to siły

proeuropejskie w Kijowie i Tbilisi otrzymają potężny cios ze strony Unii Europejskiej, a nie od własnych sił, nacjonalistycznych czy banderowskich. Źródło tego „zawężenia odpowiedzialności” bije gdzie indziej, nie w Warszawie.

Na koniec krótko o kwestiach gospodarczych. Wspomnę tylko, że problem rozwoju niezależnego czy pułapki średniego dochodu nie zostały wymyślone przez ekipę obecnie rządzącą w Polsce. My tylko jako pierwsi potraktowaliśmy to poważnie. Są to kwestie zauważone we wszystkich gospodarkach, narażonych na ryzyko peryferyjności. I wszędzie tam stawia się pytania, jakie metody czy mechanizmy rozwojowe powinny być w takiej sytuacji uruchomione. Można powiedzieć jedno: z całą pewnością muszą to być również mechanizmy rozwojowe, osadzone głęboko w gospodarce danego kraju. Państwa są od tego, aby brać odpowiedzialność za siebie i mieć na siebie pomysł. Gdyby było inaczej, to hojna przez lata polityka strukturalna Unii Europejskiej przynosiłaby takie same skutki we wszystkich krajach członkowskich. Tak się jednak nie dzieje. Są kraje, które z tego wsparcia zrobiły większy użytek, a są takie, które zrobiły mniejszy. Zapewne różniły się polityką wewnętrzną czy inaczej ustawiły mechanizmy rozwoju wewnętrznego. Wiele od nas zależy, chcemy tego, czy też nie.

W raporcie znalazła się sugestia, że rozbieżności interesów we wszystkich kluczowych kwestiach – typu bezpieczeństwo, Wschód, klimat, porządek regulacyjny, wspólny rynek usług czy budżet – są prowokowane przez takie czy inne stanowisko rządu w Warszawie, Bratysławie czy Pradze. Zwrócę uwagę, że we wszystkich tych obszarach mamy istotną rozbieżność interesów od samego początku członkostwa. To jest spór, który nam towarzyszy cały czas.

Pilotaż procesu adaptacyjnego zapewne można zobaczyć w porozumieniu brytyjskim. Skupiliśmy się na najbardziej kontrowersyjnym wątku, dotyczącym kalibrowania zasad wspólnego rynku. Faktycznie jest to pewien kłopot, natomiast pozostałe trzy elementy tego procesu powinny być postrzegane jako program pilotażowy i mam nadzieję, że skończy się on sukcesem. Jest to bardzo istotne, bo dotyczy problemu uznania różnorodności krajów euro i non-euro wewnątrz Unii. Nie pasywnego tolerowania faktu różności, ale uznania różnorodności państw członkowskich. Myślę, że ta różnorodność jest widoczna nie tylko w zakresie monetarnym, ale choćby w zakresie migracji. Brak uznania tej różnorodności, zdolności czy gotowości państw członkowskich skończy się kryzysem politycznym. Unia musi pogodzić się z tym, że 28 państw w różnych obszarach, nawet kluczowych, ma inne zdolności i inne gotowości.

Drugim problemem jest oczywiście problem legitymizacji. Delikatnie został on poruszony w porozumieniu brytyjskim, ale to jest kierunkowe wskazanie, gdzie należy szukać naprawy procesu europejskiego. Lepsza legitymizacja tam, gdzie naprawdę ma ona swoje źródło i swoją treść. Legitymizacja bezpośrednia, mówiąc językiem Pawła Hertza, z pominięciem wspólnot narodowych, jest dzisiaj porażką. Żadne reformy ani prawa wyborczego do Parlamentu Europejskiego, ani samej roli Parlamentu nie przyniosą nic w tej dziedzinie.

Ostatni aspekt to przyszła architektura Unii Europejskiej. Porozumienie brytyjskie dotknęło tylko tematu: „więcej Europy” to nie jest rozwiązanie każdego możliwego problemu, jaki mamy przed sobą. Co więcej, szczerze mówiąc, to jest dość tandetne rozwiązanie. Kiedy spotykamy się z poważnymi problemami, musimy myśleć, jak skonstruować odpowiedź, która będzie europejska, ale i odrobinę bardziej wysublimowana. Nawet gdybyśmy chcieli iść śladem wniosków i rekomendacji przedstawionych przez Autorów raportu, gdybyśmy chcieli odpowiadać na oczekiwania partnerów zagranicznych i ich opinie,

nawet gdybyśmy chcieli kopiować model, który jest bardziej na zachód od Warszawy, to obawiam się, że nie bardzo wiadomo, co dzisiaj kopiować.

Mam wrażenie, że Europa nie potrzebuje biernych widzów procesu europejskiego, którzy tylko szukają jakiegoś sposobu przyłączenia się do kogoś. Europa pilnie potrzebuje – a w szczególności jest to adresowane do państw większych, które muszą uznać większą odpowiedzialność – państw, które będą partycypować i kontrybuować. Polska jest przyzwyczajona do pozycji biorcy dobrobytu i bezpieczeństwa, ale mimo to musi dzisiaj zdać sobie sprawę z tego, że taka pozycja to za mało. Jeżeli chcemy naprawdę myśleć o sobie jako o jednym z pięciu czy sześciu ważnych państw członkowskich Unii Europejskiej, to musimy pokazać, że jesteśmy w stanie kontrybuować.

Elementem kontrybucji – to zabrzmia paradoksalnie dla Autorów raportu – jest proces adaptacji Unii, w którym Polska chce uczestniczyć. Nie mówię, że my chcemy ten proces opisać i go zrealizować. Chcemy towarzyszyć w procesie adaptacji Unii, a to oznacza dużo bardziej podmiotową i autorską, samoświadomą rolę w tym procesie.

Piotr Buras:

Chciałem podziękować Panu Ministrowi za wnikliwą lekturę raportu i krytyczne, ale konstruktywne głosy. Słuchając Pana, miałem poczucie, że raport jednak spełnił swoją funkcję, bo miał prowokować do dyskusji.

Poruszył Pan wiele wątków. Zacznę od wątku metodologicznego, ponieważ miał on duże znaczenie. Dlaczego w ogóle raport o takim profilu? Krytykował Pan, że zajęliśmy się kwestią zmiany, a nie ciągłości, i założeniami ideowymi, a nie rzeczywistą polityką. Wyszliśmy z założenia, że rząd Prawa i Sprawiedliwości doszedł do władzy pod hasłem „dobrej zmiany”, również w polityce zagranicznej. Zadaliśmy sobie pytanie, co ta zmiana oznacza dla polityki zagranicznej, i doszliśmy do wniosku, że można ją zaobserwować przede wszystkim w sferze polityki europejskiej, nie w sferze polityki bezpieczeństwa czy w stosunku do Rosji, gdzie mamy dużo większe elementy ciągłości.

Wyraźna jest natomiast redefinicja naszego stosunku do Unii Europejskiej. Łączy się ona z końcem określonego modelu rozwoju Polski, który przez wiele lat był definiowany przez pryzmat powrotu do Europy, europeizacji, imitacji europejskiego czy też zachodniego modelu. Ten wybór modelu Prawo i Sprawiedliwość stawia dziś pod znakiem zapytania. Mówi: ten etap się skończył lub też jego wybór był właściwy. W określonym sensie ta redefinicja jest naturalna, zmieniają się bowiem okoliczności. Problemem jest to, co w zamian jest proponowane.

W naszym odbiorze główny element zmiany dotyczy stosunku do Unii Europejskiej. Była ona dotąd postrzegana w Polsce przede wszystkim jako szansa, dzisiaj jest uznawana za źródło ryzyka i zagrożeń. Ta zmiana łączy się z sytuacją w samej Europie, ale nie jest to jedyny powód nowego patrzenia na Unię. Ta zmiana łączy się z określonymi przesłankami ideowymi, które staramy się analizować w tekście raportu. Dotyczą one zarówno rozumienia kwestii suwerenności i narodu przez PiS, ale również spojrzenia tej partii i środowisk z nią związanych na Europę.

Rzeczywiście, zajmujemy się przede wszystkim ideami, a nie rzeczywistą polityką. Z dwóch względów. Po pierwsze, idee i słowa mają znaczenie w polityce. Po drugie, trudno po kilku miesiącach rządu Prawa i Sprawiedliwości dokonywać kompleksowego bilansu czy analizować polityki sektorowe. Na to przyjdzie czas i będziemy się przyglądać różnym aspektom polityki zagranicznej obecnego rządu.

W wymiarze ideowym wspomniany przeze mnie nowy dyskurs Europy ma poważne znaczenie, ponieważ jest recypowany zarówno w Polsce, jak i zagranicą. Dzisiaj nasi partnerzy, zwłaszcza w Europie, są skonfundowani. Nasza polityka europejska stała się nieprzewidywalna. Sami, pisząc raport, nie wiedzieliśmy, który głos jest reprezentatywny dla myślenia o Europie w partii Prawo i Sprawiedliwość oraz w rządzie. Mamy do czynienia z wielością głosów. Minister Witold Waszczykowski w swym dorocznym wystąpieniu w Sejmie mówi, że Wielka Brytania jest naszym głównym partnerem w Europie, a potem minister Krzysztof Szczerski mówi w jednym z wywiadów, że to Niemcy są naszym głównym partnerem. Pan Minister mówi o problemie migracji jako problemie europejskim, a Pańscy koledzy z rządu mówią o problemie migracji jako o problemie zawinionym przez Niemcy i z którym tylko Berlin ma sobie radzić. Możemy wskazywać na tego rodzaju niespójności w wielu płaszczyznach i na wielu przykładach. Tu tkwi źródło nieprzewidywalności Polski na arenie międzynarodowej, co w zasadniczy sposób osłabia polską pozycję.

Kolejny punkt to kwestii suwerenności. Poświęcamy jej sporo miejsca, ponieważ jest to kluczowy temat w polskiej debacie publicznej. Na przykład w przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego z 4 czerwca 2016 roku kwestia zagrożenia naszej suwerenności były głównym przesłaniem. Mówienie dzisiaj o takim zagrożeniu w kontekście Unii Europejskiej – w ten sposób teza ta została sformułowana – jest zasadniczą zmianą paradygmatu myślenia o Europie. Co do tego nie ma wątpliwości.

Kolejna kwestia to europesymizmu, który definiujemy inaczej niż Pan Minister. Nie patrzymy na europesymizm wyłącznie przez pryzmat problemów, z jakimi Unia Europejska dzisiaj się boryka, tylko definiujemy go jako postawę, którą przypisujemy obozowi rządzącemu. Ta postawa zakłada, że Unia Europejska znajduje się dzisiaj w fazie nieuchronnej dezintegracji. Oczywiście, nie jest to rozkład, który doprowadzi do zniknięcia tego tworu z powierzchni Europy, ale Unia, jaką znamy, nie przetrwa obecnych kryzysów. W związku z tym Polska musi się do tego procesu jakoś zaadaptować, a cena polityczna, jaką należałoby zapłacić za ratowanie tego projektu w jego obecnym kształcie, byłaby najprawdopodobniej zbyt wysoka.

Wydaje się, że kwestia polityki migracyjnej jest tu dobrym przykładem. W polskiej postawie jest pewna ambiwalencja: według oficjalnego stanowiska rządu, problem migracyjny zagraża spójności Europy i w przyszłości UE jako projektu. Jednocześnie Polska nie jest gotowa niemal nic uczynić, by utrzymać ten projekt przy życiu. Świadomie mówię „niemal nic”, wiedząc, jaka będzie odpowiedź na ten zarzut, ale przykładem są Pańskie słowa z jednego z wcześniejszych wystąpień: porozumienie Unia-Turcja jest dzisiaj kluczowym elementem odpowiedzi europejskiej na kryzys migracyjny. Musimy mieć świadomość, że to porozumienie nie będzie funkcjonowało, jeżeli zabraknie programu przesiedleń uchodźców z Turcji do krajów Unii Europejskiej. Polska w tym procesie nie chce brać udziału. Więcej, całkowicie to wyklucza.

Polskie władze mówią za to o rozwiązywanie problemów problemu migracji u jego źródeł poprzez pomoc rozwojową czy humanitarną. Jednak nasz wkład finansowy jest bardzo mały. Można nawet mówić o ambiwalencji w naszej polityce, która – wydaje mi się – wynika z tego, że koszt polityczny takich przedsięwzięć postrzegany jest jako zbyt duży.

Przyczyną tej ambiwalencji jest – o czym także piszemy w raporcie – prymat polityki wewnętrznej nad polityką zagraniczną. Jest on silniejszy niż w ostatnim 25-leciu, kiedy to Polska uczestniczyła w procesach integracyjnych w paradygmacie europeizacji. Dzisiaj ten paradygmat wyczerpał się na poziomie politycznym. Dzisiaj mamy zupełnie inną narrację i inną politykę, w której priorytetem jest głęboka

zmiana wewnętrzna. To jest najważniejszy cel, który trzeba zrealizować, nawet ponosząc koszty polityczne w relacjach międzynarodowych.

Ostatnia kwestia to adaptacji Unii Europejskiej do nowych wyzwań. Odnoszę wrażenie, że nasza debata o Europie została – i przez rząd, i przez opozycję – zepchnięta do ślepego zaułka: zaczęliśmy dyskutować o tym, czy rząd Prawa i Sprawiedliwości chce nas wyprowadzić z Unii Europejskiej, czy nie. Jest to, do pewnego stopnia, debata wygodna zarówno dla rządu, jak i dla opozycji. Ci pierwsi łatwo mogą powiedzieć: „nie chcemy wyjść z Unii Europejskiej”. I ja przyjmuję to stanowisko. Dla drugich ten typ debaty pozwala krytykować rząd za coś, do czego on nie zmierza, i jednocześnie samemu nie odpowiadać na trudne pytania dotyczące przyszłości Unii Europejskiej.

Tymczasem pytanie o adaptację jest kluczowe. O to, jak wyobrażamy sobie zmienioną Unię Europejską i w jakim kierunku chcemy ją zmieniać. Mam tutaj wątpliwości związane z odpowiedziami na to pytanie udzielanymi przez rządzących. Pan Minister powiedział, że porozumienie z Wielką Brytanią jest programem pilotażowym dla dalszej zmiany Unii Europejskiej. Wątpię, czy to jest słuszna droga. Stoi za tym założenie, że Unia Europejska powinna zmierzać w kierunku Unii wielu prędkości, wielobiegunowej czy Europy *à la carte*, czyli każda odmienność w równym stopniu powinna być respektowana. To się łączy z zarzuceniem pomysłu *ever-closer Union* i z założeniem, że każdy kraj powinien wybierać swój model i swoją drogę integracji europejskiej.

Taki model integracji zapewne jest korzystny dla Wielkiej Brytanii, która postrzega integrację europejską zupełnie inaczej niż Polska. Natomiast ceną za taką integrację europejską będzie Unia, w której element solidarności, dzisiaj dla Polski nadal kluczowy, zasadniczo zostanie osłabiony. O tym powinniśmy poważnie dyskutować: gdzie się sytuują interesy Polski w zmieniającej się Unii Europejskiej? Czy droga wskazana przez obecny rząd jest rzeczywiście właściwa?

Eugeniusz Smolar:

Piotr Buras mówił o sprawach ogólnych. Ja pozwolę sobie zejść na poziom bardziej praktyczny. Z obozu rządzącego płynie kakofonia głosów. Do tego powszechne jest przekonanie, że centrum decyzyjne mieści się poza rządem i ministerstwami. Stąd zapewne różnica języka, także w obrębie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czego przykładem są wypowiedzi Witolda Waszczykowskiego i poszczególnych wiceministrów. Obserwatorzy zagraniczni przywiązują do tych wszystkich wypowiedzi dużą wagę, próbując na ich podstawie odtworzyć sposób myślenia szeroko pojętego obozu rządzącego a następnie przełożyć te poglądy na język konkretnych polityk.

Zasadnicza jest tutaj – pominięta przez Pana – problematyka gospodarcza, ponieważ wiąże się ona z określonym modelem rozwoju Polski. Na przykład „Financial Times” dziwi się, że Polska odrzuca mechanizmy rozwoju, które tak dobrze jej służyły przez ostatnich kilkanaście lat². Wicepremier Mateusz Morawiecki, cieszący się pełnym poparciem całego obozu rządzącego, twierdzi, że Polska w swoim rozwoju stała się nazbyt zależna od zagranicy, i zamierza tworzyć zręby przyszłości na inicjatywach struktur państwowych, czyli urzędniczych. Nie trzeba być wielkim myślicielem w dziedzinie gospodarczej, by zdawać sobie sprawę, że przy niskim poziomie oszczędności, wynikających z poziomu zamożności, między innymi klasy średniej, możliwości rozwoju wynikające z zasobów wewnętrznych są, mówiąc delikatnie, ograniczone. Poza tym, z jednej strony, władza najpierw krytykuje kadry urzędnicze wywodzące się z III Rzeczypospolitej, by potem ogłosić, że one mają budować nową polską gospodarkę.

² Henry Foy, *Poland Vows to End Free Market Approach Despite Economic Gains*, „Financial Times”, 9.06.2016, <http://www.ft.com/cms/s/0/6a702384-2e49-11e6-bf8d-26294ad519fc.html#axzz4H0kGSA00>.

Moim zdaniem, w ten sposób nie stworzy się żadnej pragmatycznej wizji dalszego rozwoju. Podobny sposób myślenia wpływa też na postrzeganie Unii Europejskiej jako zagrożenia, a nie jako możliwości dla Polski. W planach bowiem UE pozostaje jako niezbędny element dalszego rozwoju, a jednocześnie toczy się z nią wojnę ideologiczną.

Dodatkowym, bardzo ważnym elementem w tej ideologicznej układance jest specyficzne rozumienie suwerenności i podmiotowości. Tworzy się wrażenie, że obecnie rządzący – w odróżnieniu od poprzedników – to twardzi realiści, którzy realnie postrzegają pozycję Polski i jej możliwości, a także to, co się dzieje w Unii Europejskiej, która ma służyć interesom wielkich mocarstw, głównie Niemiec; natomiast krytykujący tę politykę to proeuropejscy idealisci, na dodatek służący interesom obcych mocarstw. Tymczasem w przeszłości nikt znaczący w polskiej polityce, myśląc o naszej obecności w Unii Europejskiej, nie odrzucał istnienia w Europie konfliktów interesów. Uznawano jedynie, że instytucje unijne i prawo pomagają w negocjowaniu różnic interesów. Jeśli jednak dzisiaj nie uznaje się konieczności wzmacniania mediacyjnej funkcji np. Komisji Europejskiej, z którą jesteśmy obecnie w głębokim sporze, to taki wybór zagraża procesowi dostosowywania się UE do nowych warunków, a Polska w tym procesie mogłaby odegrać pozytywną rolę.

Kolejna kwestia: odrzucenie modelu politycznego opartego na liberalnej demokracji i wartościach społeczno-kulturowych, które panują w Europie, wykopuje głęboką przepaść kulturową między Polską, Węgrami i niektórymi innymi krajami a większością elit zachodnioeuropejskich, obecnie często podzielonych i przeżywających głęboki kryzys. Ten osławiony *mainstream* jest mocno krytykowany przez PiS-owski obóz, uważający, że Polska, pozostając w jego orbicie, nie czerpała, nie czerpie i nie będzie czerpała korzyści odpowiednich dla realizacji swoich celów narodowych. Krytykując poprzedników, rządzący nie chcą dostrzec, że „płynięcie w *mainstreamie*” oznaczało po prostu głęboką partycypację w podejmowaniu decyzji i rozwiązywaniu problemów.

Wykopanie przepaści kulturowej z Zachodnią Europą będzie oznaczało – obawiam się – radykalne ograniczenie możliwości oddziaływania Polski na procesy zachodzące w Europie. Jeśli do tego dodać wypowiedzi czołowych postaci, w tym prezydenta Andrzeja Dudy podczas pobytu na Węgrzech, to nasi partnerzy zaczynają dostrzegać w Polsce aktora, który próbuje wykuwać dla siebie odrębną rolę, nie tyle polityczną, ale kulturową, i nie znajduje miejsca dla porozumień pragmatycznych, dzięki którym będzie można realizować wspólne projekty, które są istotne i dla naszych partnerów, i – strategicznie – dla Polski.

Dobrym przykładem jest pomysł budowy Międzymorza jako zbiorowiska państw położonych między Niemcami a Rosją, które rzekomo miałyby się kierować wspólnym interesem. Ten pomysł w rozmowach z naszymi partnerami jest przedstawiany jako projekt, który ma ograniczyć możliwości agresji czy nadmiernego wpływu Rosji na sytuację w naszych krajach. Jednak *de facto* jest on przez naszych partnerów rozumiany jako projekt wymierzony w równym stopniu przeciwko Rosji, jak i przeciwko Niemcom. Jeśli nie mamy wypowiedzi miarodajnych, które by precyzyjnie nakreślały tego rodzaju projekty, to mamy do czynienia nie tylko z kakofonią głosów. Niektórzy nasi partnerzy zachodni zaczynają rozumieć, że Polska przestaje „grać w jednej drużynie” i uczestniczyć w rozwiązywaniu wspólnych problemów, zwłaszcza związanych z przyszłym rozwojem Unii Europejskiej. Stąd nasz wniosek, że istnieje głębokie ryzyko pogłębienia się izolacji Polski i ograniczenie możliwości jej wpływu na procesy w Unii.

Ostatnia sprawa to legitymizacja. To nie jest zjawisko czysto polskie: politycy w całej Europie mitologizują rolę Unii. Na przykład mówi się o bezrobociu europejskim, co nie istnieje, nawet w sensie statystycznym. Istnieje bezrobocie polskie, hiszpańskie, brytyjskie, francuskie czy inne. Każdy z krajów

musi się z tym uporać, a rola Unii jest marginalna. Z jednej strony, oczekujemy dużego budżetu UE, by Unia mogła odgrywać większą rolę (a także dla zwiększenia napływu środków do Polski), a z drugiej strony – nie dajemy instytucjom unijnym możliwości skutecznego uporania się co najmniej z częścią obecnych problemów. Jeśli osłabimy pozycję instytucji europejskich – a na tym między innymi polega kompromis brytyjski, o którym była mowa – to godzimy się na to, że suwerenność i podmiotowość Polski nieuchronnie zetrze się z suwerennością i podmiotowością, wręcz z egoizmem innych krajów, które na dodatek są płatnikami netto do budżetu europejskiego, skąd tak wiele czerpiemy.

Ludwik Dorn:

Problem jest podstawowy: wypowiedzi Pana Ministra i Autorów raportu pochodzą ze światów równoległych. Kiedy słuchałem Pana wypowiedzi, to przypominała mi się piosenka *Dramat w ogródkach działkowych*, którą śpiewała Barbara Krafftówna w latach 60. Tutaj znaleziono uduszoną panią, a tutaj torbę z uciętymi palcami: „A poza tym, nic na działkach się nie dzieje, co niedziela działkowiczów barwny tłum”.

Pan Minister jest takim działkowiczem. Mówi: „Każdy coś tam sobie plewi, coś tam sieje”. A trupy? Nic przecież się nie dzieje. Tymczasem raport trupami właśnie się zajmuje.

Przypomnę, iż powstał on przed uchwałą Sejmu, że Unia Europejska jest zagrożeniem dla suwerenności. Podjęto ją w odpowiedzi na krytykę polityki PiS-u wobec Trybunału Konstytucyjnego. Nagle ogłoszono w Sejmie, że Polacy muszą bronić swej suwerenności. To nie są koncepcje czy idee, ale twarda polityka. Rzeczywistość przeszła oczekiwania Autorów raportu. Nie ma już mowy o ryzykach bądź nawet zagrożeniu, lecz wprost definiuje się Unię Europejską jako zagrożenie dla suwerenności.

Wróćmy do europesymizmu i nieuchronności dezintegracji Unii Europejskiej. Obecny rząd jest tak dalece postmodernistyczny, że wszystko może dekonstruować i następnie dowolnie składać, w zależności od sytuacji czy natężenia woli mocy: raz może definiować UE jako zagrożenie dla suwerenności, a raz stwierdzać, że dla członkostwa Polski w Unii nie ma alternatywy. Autorzy napisali raport, jakby chodziło o niepostmodernistyczny obóz władzy, który ma spójne poglądy i postępuje konsekwentnie. Tymczasem są to kategorie, które się nie odnoszą do obecnej, polskiej rzeczywistości politycznej.

W przeciwieństwie do Fideszu Victora Orbána obecny obóz władzy nie przedstawia alternatywnej polityki europejskiej, a jest głębiej przesiąknięty europesymizmem niż rządzący Węgry. Victor Orbán taką alternatywę przedstawia. W wystąpieniu w dniu 28 lutego 2016³ mówił on trzech ośrodkach siły: Berlin, Moskwa i Ankara. Orbán z nimi chce mieć dobre relacje – to ma być podstawa węgierskiej polityki zagranicznej. Unia Europejska zaś jest jedynie dodatkiem. Dla PiS-u zaś UE to bezalternatywne zagrożenie suwerenności.

Na koniec jedna kwestia, której nie ma w raporcie, a jest, moim zdaniem, ważna, choć dotyczy przyszłości, a nie teraźniejszości – chodzi „przesterowywanie” świadomości geopolitycznej Polaków przez obóz władzy i rozgałęzioną grupę jego propagandzistów. Przekaz brzmi: „Zagrożeniem jest Unia Europejska, czyli Zachód. Zagrożeniem egzystencjalnym dla tożsamości, suwerenności, podmiotowości i wszystkiego innego”. Oczywiście, Rosja w tym przekazie też jest zagrożeniem, bo najechała Gruzję, zabrała Krym Ukrainie, naciska na kraje bałtyckie. Ale w jaki sposób zagraża ona Polsce? Nie stanowi

3 *Prime Minister Viktor Orbán's State of the Nation Address*, <http://www.kormany.hu/en/the-prime-minister/the-prime-minister-s-speeches/prime-minister-viktor-orban-s-state-of-the-nation-address>.

zagrożenia suwerenności i tożsamości narodowej, tylko chce, żebyśmy nie prowadzili aktywnej polityki wschodniej. Tyle, że my już ją prowadzimy wyłącznie deklaratorywnie, czyli realnie nie prowadzimy!

Jeżeli przez cztery lata znaczny segment społeczeństwa będzie słyszał taki przekaz o Unii Europejskiej i jednocześnie skończą się czy zmniejszą się beneficja od niej pochodzące, a jednocześnie trwał będzie lęk przed Rosją, motywowany doświadczeniem historycznym, to w sposób naturalny pojawi się pytanie: „Rosjanie mówią, że jak my się od nich odczepimy, to oni się od nas odczepią. To może to zrobimy? A na ten Zachód to trzeba uważać”. To się dzieje: następuje przesterowanie polskiej świadomości geopolitycznej na świadomość izolacjonistyczną.

Małgorzata Bonikowska:

Mam jedynie dwa pytania: jakie Polska zamierza podjąć konkretne działania na rzecz pracy nad projektem europejskim? Jaka jest Państwa wizja przyszłości Unii Europejskiej i co jest optymalne dla polskich interesów?

Katarzyna Żukrowska:

Mam krótkie pytanie dotyczące Europejskiej Polityki Sąsiedztwa. Jakie są polskie interesy, określane przez obecny rząd w tym zakresie, i co konkretnie robimy? To Polska przecież była inicjatorem tej polityki.

Adam Traczyk:

Moje pytanie wykracza poza politykę europejską. Jak Pan Minister wyobraża sobie ułożenie relacji ze Stanami Zjednoczonymi, w sytuacji, kiedy głównym partnerem USA w Europie nie jest Wielka Brytania, tylko Niemcy, zaś polityka Stanów wobec Europy jest funkcją relacji amerykańsko-niemieckich?

Jerzy M. Nowak:

Poruszę kwestię, która może wydawać się marginalna, ale wpływa na pojmowanie i obraz polskiej polityki zagranicznej – to jest pogardliwa i ubliżająca retoryka naszych władz w odniesieniu do Unii. Chodzi przede wszystkim o wypowiedzi ministra Witolda Waszczykowskiego, który bardzo często zachowuje się w sposób wręcz obraźliwy w stosunku do Unii, nazywając jej wysokich urzędników ubliżająco – „urzędnikami” lub „urzędasami”. To zresztą nic nowego, bo minister niejednokrotnie lekcewał instytucje i funkcjonariuszy międzynarodowych. Teraz twierdzi, że narzucił PiS-owi swoją koncepcję polityki zagranicznej – może więc także stosunek do Unii? Niestety, również sama premier Beata Szydło ulega tej retoryce.

Zadaję sobie pytanie: po co takie wypowiedzi? Przecież łatwo je wyeliminować. Widzimy, jak one oddziałują na świat zewnętrzny i na polską opinię publiczną. Ośmieszają nas na zewnątrz, a wewnątrz wzmagają tendencje izolacjonistyczne, pogardliwe spojrzenie polskiego społeczeństwa na to, co poza Polską, w tym na Unię Europejską.

Aleksander Smolar:

W obecnej polskiej polityce zagranicznej widać próbę powrotu do tradycyjnej geopolityki. Dotyczy to między innymi postrzegania Unii, jako zbioru skonfliktowanych, wzajemnie podejrzliwych państw zachowujących pełną suwerenność narodową. Nie widzi się w niej wspólnoty, której członkowie rezygnują z części suwerenności narodowej na rzecz wspólnego z niej korzystania poprzez instytucje unijne, dla osiągnięcia wyższego poziomu realizacji zarówno celów wspólnych, jak i narodowych. Jarosław Kaczyński – o jego roli w obozie rządzącym nie muszę przekonywać – wielokrotnie mówił ostatnio

o suwerenności Polski, nie wspominając w ogóle o korzyściach i ograniczeniach, jakie wynikają z przynależenia do wspólnoty, krytykując jedynie instytucje UE za zabieranie głosu w sprawach, które prezes PiS-u uważa za problemy wewnętrzne Polski (chodzi przede wszystkim o sytuacje Trybunału Konstytucyjnego). Warto przypomnieć przykład, jak to członkostwo służy naszym interesom w stosunkach z państwami trzecimi: gdy Rosja nałożyła embargo na dostawy żywności z Polski, to Komisja brukselska uniemożliwiła te politykę dyskryminacji.

Idee Międzymorza, która miała zdecydowanie odróżnić politykę obecnego rządu od poprzedniego, postrzegam właśnie w kategoriach prób powrotu do tradycyjnej geopolityki. W dodatku reakcje państw najbliższych Polsce są co najmniej sceptyczne wobec tego projektu; między innymi dlatego, że inny jest stosunek tych państw do Rosji, do Niemiec i do Unii, oraz ze względu na niechętnie przyjmowane aspiracje przywódcze władz w Warszawie. Minister Witold Waszczykowski mówił ostatnio o polskim przywództwie jako o fakcie. Podobnie jako fakt traktował sojusz szesnastu państw regionu. Jedno i drugie traktować można w istocie, co najwyżej, jako pragnienie czy nadzieję.

Nietrudno dostrzec dokonaną przez obecny rząd zmianę paradygmatu w myśleniu o Europie. Definiowanie polityki zagranicznej w perspektywie strategicznej wymaga uwzględnienia wysokiego poziomu niepewności. Deklarowanie w styczniowym *exposé* przez ministra spraw zagranicznych szczególnego znaczenia stosunków z Wielką Brytanią – gdy kraj ten przygotowywał się już dawno do referendum, które miało określić przyszłość tego kraju w Unii – stawia pod znakiem zapytania strategię władz oraz jej zdolność oceny rzeczywistości.

W wywiadzie, którego Pan Minister udzielił ostatnio „Rzeczpospolitej”⁴, i w innych wypowiedziach pojawiła się interesująca teza, że dzielimy z Niemcami wizję Europy, odmienną od tej, jaka dominuje w krajach Południa czy we Francji. Przyszłość UE jest niepewna, pojawiają się też różne na ten temat koncepcje. Obecny rząd nie ukrywa, że bliska jest mu przedstawiana przez Londyn koncepcja osłabienia dotychczasowych tendencji integracyjnych. Nie ulega wątpliwości, że wiele krajów strefy Europy kontynentalnej ma koncepcje przeciwne. Widoczne jest dążenie do znacznie silniejszej integracji w ramach strefy euro czy węższej jeszcze grupy państw (np. Europy Karola Wielkiego). Nie jest sprawą przypadku, że kraje pierwotnej szóstki podejmują debaty na temat przyszłości we własnym gronie.

Nie wykluczam, że proces ten może się zacząć od dalszego zacieśnienia więzi między Niemcami a Francją. Oczywiście, warunkiem musi tu być (zarówno jeżeli chodzi o strefę euro, jak i podejmowanie prób węższej integracji) poprawa sytuacji gospodarczej i finansowej krajów Południa. Bo oczywiście – mówił Pan Minister na łamach Rzeczpospolitej – Berlin nie chce płacić za kraje pogrążone ciągle w kryzysie, podczas gdy kraje Południa, w tym Francja, zainteresowane są procesami redystrybucyjnymi, obciążającymi przede wszystkim Niemcy. Widzi Pan „grunt pod strategiczną synergię między Polską i Niemcami” w tym, że „każda z naszych stolic, choć z innych powodów, nie widzi żadnych zalet w budowaniu mini-Schengen, mini-Unii, miłych małych klubików, które być może dadzą komuś poczucie komfortu, ale osłabią Europę”.

Nie należy jednak wyciągać z owej bliskości zbyt daleko idących wniosków. Trzeba by również spojrzeć w szerszej perspektywie na bliskość między koncepcją obecnego rządu w Warszawie a Berlinem, jeżeli chodzi o Unię i znaczenie pogłębienia jej integracji. Przecież my widzimy od kryzysu 2008 roku w różnych dziedzinach zacieśnianie więzi w UE, między innymi z inicjatywy Berlina, jeżeli chodzi

4 *Ratujmy z Niemcami Europę* [z Konradem Szymańskim rozmawiają Jędrzej Bielecki i Jerzy Haszczyński], „Rzeczpospolita, 19.05.2016.

o bańkowość, wzmocnienie kontroli Komisji Europejskiej nad finansami publicznymi państw członkowskich, w woli centralizacji ochrony granic strefy Schengen. W wielu dziedzinach bardzo nam daleko od Berlina. Nie mówię o problemach zasadniczych, dotyczących uchodźców, problemów ekologicznych i energetycznych.

Ostatni temat, który chcę poruszyć, wiąże się z tym, o czym mówił Ludwik Dorn. Polacy, utożsamiając się z Zachodem, definiowali się cywilizacyjnie przeciwko Rosji i utożsamianej z prawosławiem tradycji ceszaropapizmu. Dzisiaj obóz rządzący zdaje się widzieć wrogów w trzech cywilizacjach: w Rosji, w islamie (którego często nie odróżnia się od politycznego islamizmu i jego radykalnych, nihilistycznych nurtów sięgających terror) i w dzisiejszym Zachodzie. To, co się słyszy na temat Europy zachodniej i „Brukseli” od licznych polityków obozu rządzącego i od intelektualistów związanych z PiS-em, często przypomina język dziewiętnastowiecznych słowianofilów rosyjskich. Argumenty na pozór są nowe: krytykuje się panujące „lewactwo”, ideologię „multi-kulti”, związki partnerskie, homoseksualizm. Ale jak u słowianofilów jest w tym swoisty język wyższości. Dosłownie można usłyszeć: MY reprezentujemy tradycyjne wartości europejskie i prawdziwa Europa może przeżyć tylko dzięki nam! To jest w istocie język, który służy samoizolacji i osłabieniu kontaktu z rzeczywistością. Jest w tym w gruncie rzeczy częściowe odwracanie się od okcydentalistycznych tradycji Polski.

Leszek Jażdżewski:

Gdyby polska polityka zagraniczna miała jasno określony cel, np. realizacji projektu mocarstwowego na kontrze do wartości europejskich *a là* Turcja, łatwiej byłoby ją komentować czy krytykować, tymczasem sprawia ona wrażenie nie tyle konsekwentnie realizowanej strategii, ile szeregu chaotycznych posunięć, obliczonych na potrzeby wewnętrzne.

Globalne i regionalne wyzwania i zagrożenia dla Polski zmuszają nas do szukania rozwiązań europejskich. Gdyby Polska była silnym krajem, takim jak Niemcy, to mogłaby chcieć zdominować Unię Europejską. Ale Polska takim krajem nie jest i w przewidywalnej przyszłości nie będzie. Jednocześnie Unia jest Polsce potrzebna. Nie tylko dla transferów finansowych (przez najbliższe sześć czy siedem lat), ale też by móc negocjować taki kształt relacji ekonomicznych np. z Chinami czy USA, który dla Polski będzie korzystny. Dobrym przykładem jest TTIP, choć trzeba postawić pytanie, czy proponowane rozwiązania będą dobre dla polskiego biznesu, który nie podbija jeszcze na masową skalę rynków globalnych. Tak zwany „plan Morawieckiego” nie jest możliwy bez bliskiej współpracy w ramach UE.

Pogłębianie integracji, choćby członkostwo w strefie euro, wprawdzie wadliwie zaprojektowanej jako unia walutowa, zwiększa bezpieczeństwo krajów peryferyjnych. Dużo trudniej zaatakować państwo w eurozonie czy pozwolić mu na bankructwo, ponieważ spowoduje to na zasadzie naczyń połączonych gigantyczny kryzys w pozostałych krajach strefy.

Dlatego, nawet patrząc z eurosceptycznej perspektywy PiS-u, skoro Unia jest nam potrzebna, należy postawić pytanie, jaki kształt relacji międzypaństwowych i ładu instytucjonalnego Unii będzie dla Polski bardziej korzystny? I czy nie byłoby lepiej, żeby Polska nawet zupełnie pragmatycznie i cynicznie używała języka i podejmowała działania, dzięki którym można by ją uznać za „wzorowego Europejczyka”? Tymczasem retoryka tego rządu raczej zniechęca niż zbliża do nas europejskie elity i społeczeństwa, co zdecydowanie zawęży nam pole gry o europejskie rozwiązania korzystne dla Polski.

Dzisiaj, nawiązując do wypowiedzi Radosława Sikorskiego, z siedzących przy stole staliśmy się daniem... Dobrze byłoby odwrócić tę logikę, abyśmy byli bardziej, a nie mniej suwerenni – czyli angażowali się

w rozwiązywanie problemów przy pomocy unijnego instrumentarium, choćby za naszą wschodnią granicą, a nie żeby do Warszawy przyjeżdżali przedstawiciele Komisji Europejskiej, aby rozwiązywać problemy z Polską.

Krzysztof Blusz:

Chciałem wrócić do dwóch spraw. Pan Minister powiedział, że zmiana polityczna nie skutkuje zmianami strategicznymi. W tym kontekście chciałbym zapytać o jedność Zachodu i prosić o wytłumaczenie ryzyka, na które wskazywali Autorzy raportu. Zamiennie używamy pojęcia „eurosceptycyzmu” i „europesymizmu”. Autorzy wskazują na zbitkę pojęciową, która często pojawia się w dyskursie, łącząc krytykę liberalnej demokracji jako racjonalności organizującej Zachód przez ostatnie kilkadziesiąt lat z krytyką Unii Europejskiej. Chciałbym poprosić o wyjaśnienie, na ile to, co słyszymy ze strony PiS w sporze o rolę Unii Europejskiej i o jej stan faktyczny, jest dziś krytyką Zachodu, liberalnej demokracji Zachodu, a na ile jest to krytyka Unii Europejskiej jako takiej?

Drugie pytanie dotyczy przyszłego uznania różnorodności jako zasady, wokół której miałyby być budowane projekty europejskie. Gdzie Pan Minister widzi źródła siły dla takiego projektu wspólnotowego? Gdyby tej różnicy nie redukować do państwa suwerennego, narodowego, ale szukać innych obszarów tej różnorodności, które z nich mogłyby stanowić o źródle tej siły? Czy chodzi o wspólne postrzeganie zagrożeń? Wspólne postrzeganie interesów? Jak miałyby wyglądać Unia budowana wokół różnicy?

Konrad Szymański:

Zacznę od końca. Gdzie są źródła siły dla projektu, który jest oparty na uznaniu różnicy czy zróżnicowania? Oczywiście, sprawa nie jest prosta. Można sobie wyobrazić, że Unia Europejska przyjmuje każde roszczenie z każdej strony. W efekcie wspólny mianownik wynosi zero. Gdyby dzisiaj powiedzieć: „Zróbcie to, co chcecie, wszystkie 28 państw”, to obawiam się, że byłibyśmy blisko takiej sytuacji. Nie chodzi o stworzenie rozwiązania, który uwolni od wszystkich trosk, napięć, kłopotów i wzajemnego niezadowolenia. Stworzenia modelu wspólnoty opartego na uznaniu różnorodności to dużo trudniejsze zadanie.

Rozwiązania brytyjskie zarysowało problemy, przed jakimi obecnie stoimy. Waga zawartego porozumienia, także dla brytyjskiej opinii publicznej, polega na tym, że Unia po raz pierwszy wykazała się tak dużą skłonnością do słuchania i empatii wobec roszczeń, które do tej pory były – czasami w nieprzyjemny sposób – odrzucane, przedstawiane jako niewłaściwe, nie w porę zgłaszane, niedobrze sformułowane, nieaktualne, nieznaczące, peryferyjne. Dotychczasowa postawa była jednym z elementów, które wywoływały gorycz w stosunku do Unii. Wielka Brytania jest świetnym przykładem, bo nagromadzona niechęć do Brukseli jest nieproporcjonalna do tego, co było faktycznymi problemami w stosunkach Unii jako kontynentu z Wielką Brytanią. Jednak te kwestie tak długo było odsuwane na bok jako nieważne, że wywołały psychologiczny efekt spiętrzenia.

To pilotażowe rozwiązanie między Wielką Brytanią a Unią pokazuje kierunek. Pierwsze miesiące naszego rządu były w znacznym stopniu zdominowane przez tę sprawę. Widziałem, jak trudno było uzyskać niewielkie korekty. Brexit jest też dobrym przykładem na to, że polska polityka jest dzisiaj przewidywalna, bo odegramy w tej sprawie rolę kluczową. Byliśmy jednym z trzech państw, które do samego końca przedłużało negocjacje dla osiągnięcia lepszej umowy, a wiele zapisów pochodziło z Warszawy. Bez odpowiedzialnej postawy pani premier Beaty Szydło nie udałooby się doprowadzić to tak dobrze zbalansowanego porozumienia.

Drugim przykładem nie tylko przewidywalności, ale i odpowiedzialności, wbrew potocznym mniemaniom, jest kwestia migracji. Polska nie była frontalnie zaangażowana w zawarcie porozumienia Unia-Turcja, ale z całą pewnością byliśmy akuszerami zmiany paradygmatu myślenia o migracji: z problemu zarządzania wewnętrzną migracją, z wszystkimi tymi elementami, które wywoływały złą atmosferę na forum Rady, na użycie innej gamy instrumentów zewnętrznych. Chodzi nie tylko o porozumienia z krajami trzecimi w sprawie zarządzania migracją, ale o przeciwdziałanie destabilizacji na Biskim Wschodzie.

To także budowanie – większe niż dotychczas – mechanizmów finansowania tej polityki. Polska, jak na swoją skalę, jest niezbyt hojna, jeśli chodzi o pomoc rozwojową i humanitarną. Jednak ta pomoc w ostatnim czasie dwukrotnie wzrosła. Rząd jest świadomy tego problemu i będziemy go rozwiązywać. W ten sposób budujemy swoją wiarygodność, niezbędną do przyjęcia oczekiwanego przez nas kształtu pakietu migracyjnego, który z nami zostanie na lata – to wyzwanie nie zniknie ani jutro, ani pojutrze – i jesteśmy gotowi ponadprzeciętnie angażować się we wszystkie aspekty związane z tym zagadnieniem.

Wyrazem tego zaangażowania było, prawie już przyjęte, porozumienie w sprawie europejskiej straży granicznej. Na początku wiele osób się obawiało, że dojdzie do poważnych napięć w Radzie. Tak się nie stało. Polska miała wiele zastrzeżeń do klauzuli interwencyjnej. Natomiast łatwo znaleźliśmy porozumienie do kształtu straży. W tej chwili przebiega szybki proces legislacyjny, który doprowadzi do radykalnego wzmocnienia ochrony granicy zewnętrznej UE.

W tym samym czasie zbudowaliśmy unijną zdolność do niesienia pomocy humanitarnej wewnątrz Unii. Fundusz Humanitarny, zasilany z niektórych części unijnego budżetu, neutralnych z naszego punktu widzenia, ma zajmować się tylko i wyłącznie katastrofami humanitarnymi, związanymi z nieoczekiwanym, masowym przyływem migrantów na terytorium państwa członkowskiego. Był on budowany jako przeciwwaga dla dysfunkcji porozumienia tureckiego. Nie został użyty, ponieważ porozumienie zadziałało.

Tego typu fakty polityczne budują poczucie przewidywalności. Każdy, kto chce zrozumieć nową politykę polską, powinien zwrócić uwagę na te elementy, a nie próbować zestawiać wyrwane z kontekstu politycznego rozmaite cytaty związane z naszym wyboistym momentem relacji z Unią. Ta wyboistość jest związana z problemem badania praworządności, ale łatwo przenosi się na realny grunt: na kwestię suwerenności.

Suwerenność to paradygmat niemalże nieobecny w dyskursie europejskim. W Polsce ten paradygmat został przywołany podczas nieporozumień sejmowych dotyczących natury procesu badania praworządności i roli, jaką odgrywają poszczególne instytucje. Mam wrażenie, że gdyby opozycja nie przeinterpretowała roli Komisji Europejskiej oraz warunków i zobowiązań wynikających z naszego członkostwa w Unii Europejskiej, to być może uniknęlibyśmy tego rodzaju rozważań. W tej sytuacji jednak było potrzebne przypomnienie, gdzie jesteśmy i kto jest kim.

Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej nie upoważnienia *in blanco* do działania instytucji unijnych w jakiegokolwiek sprawie i w jakiegokolwiek sposób. Traktat w polskim przekładzie liczy aż 200 stron, ponieważ precyzyjnie opisuje relacje między instytucjami, ale także między instytucjami a państwami. W tym konkretnym przypadku nie kłócimy się o wagę zasady praworządności. To jest niekontrowersyjne. Nikt nie podważa istotnego charakteru tej zasady w europejskim i polskim porządku prawnym. Co

więcej, nie kłócimy się nawet co do istnienia przynajmniej trzech aspektów kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego, które muszą być naprawione.

Natomiast faktycznie mamy opory, mówiąc delikatnie, co do tego, że na pewnym etapie tego sporu ktoś nam przedstawia rozwiązania pochodzące spoza polskiego porządku prawnego i sugeruje, że to jest nieznosząca sprzeciwu, bezalternatywna wersja rozwiązania problemu. Każdy ma prawo zadawać pytanie, mieć wątpliwości, ale dyktowanie rozwiązań to jest troszeczkę za daleko. Nie widzimy podstaw. Możemy np. doczekać się sytuacji, kiedy Bruksela zażąda od nas jakiejś kontroli *ex ante* wszystkich ustaw, które są zgłaszane w Sejmie, co nie byłoby sytuacją optymalną z punktu widzenia zdrowych relacji między państwem członkowskim a Unią Europejską. Nie ironizuję, ale w pewnym momencie mieliśmy poczucie, że do procesu legislacyjnego powinniśmy włączyć jakiś *check* ze strony Komisji. To niepotrzebnie czyni nasze relacje toksycznymi, a ich uzdrowienie jest możliwe, pod warunkiem, że wszyscy będziemy wiedzieli, jaką odgrywamy rolę w tym procesie.

Co do Europejskiej Polityki Sąsiedztwa, to chcę podkreślić, tak jak w wielu innych sprawach, że to nie z Warszawy płyną sygnały niedobre dla Unii. To nie my wymyśliliśmy ograniczenie ambicji unijnego oddziaływania na wschodnich partnerów. My jesteśmy w tej kwestii niezwykle ostrożni. Referendum holenderskie, które było niekonstruktywnym wydarzeniem dla całego procesu relacji Europa-Ukraina, w Kijowie jest traktowane jako niedobry sygnał z całego Zachodu, skierowany do sił, które naprawdę z dużym poświęceniem inwestują wszystko, co mają, w projekt zbliżenia z Unią.

Warszawa nie zareagowała nadmiernie nerwowo. Nie było żadnych retorycznych popisów, co sądzymy na temat takiego rozumienia solidarności europejskiej, chociaż można byłoby wyobrazić takie głosy. Można było powiedzieć: „W porządku, skoro lubimy mówić o wzajemnej solidarności, to możemy porozmawiać o tym modelu. Mamy świadomość, że solidarność to świetny paradygmat, który wiele tłumaczy w Unii Europejskiej i w stosunkach międzynarodowych, przynajmniej w świecie zachodnim, ale wiemy również, że ma ona swoje ograniczenia. I nie każdy scenariusz adaptacji NATO, powiedzmy, napisany w Tallinie, byłby z entuzjazmem przyjęty przez francuskie Zgromadzenie Narodowe, tak samo nie każdy scenariusz, dajmy na to, polityki migracyjnej napisany w Berlinie będzie przyjęty z entuzjazmem w Budapeszcie czy w Warszawie. Nie każdy scenariusz transformacji energetycznej, która się wydaje zupełnie racjonalna w Berlinie czy w Hadze, będzie w imię solidarności bezkrytycznie, bezwarunkowo przyjmowany w Warszawie”.

Solidarność ma swoje granice po obu stronach. Jeśli zejdziemy na poziom konkretny, to lepiej będziemy rozumieli, że możemy żyć z okrojonymi wersjami solidarności w zakresie polityki wschodniej, bezpieczeństwa czy budżetu, ale oczekujemy od naszych partnerów, aby też żyli spokojniej z naszymi okrojonymi wersjami solidarności w innych obszarach. Solidarność po prostu nie jest bezwarunkowa czy bezgraniczna. Nie jest totalnym paradygmatem, który wszystko wyjaśni, jeżeli chodzi o różnice postrzegania czy różnice interesów wewnątrz Unii.

Co do Międzymorza. Nie lubię tego określenia, bo ono uruchamia paralele historyczne czy podobieństwo do koncepcji Północ-Południe w Unii Europejskiej. Nigdy nie odebrałem też tej koncepcji jako formuły zastępczej wobec dotychczasowych perspektyw strategicznych w Unii. To jest dodatkowa, wzbogacająca perspektywa dla Polski jako kraju bałtyckiego. Bałtyk jest aspektem, który jest zapomniany i niedoceniany w polskiej polityce, a powinien zostać uznany za kolejną formułę ważną dla naszej polityki europejskiej.

Nie wiem, jaki jest stosunek Niemiec do idei Międzymorza. Jeżeli jednak ktoś stawia tezę, że Niemcy traktują ją jako koncepcję konkurencyjną czy wręcz wrogą wobec ich relacji z Warszawy, powinni to jasno powiedzieć. Ja nigdy podobnej deklaracji z niemieckich ust nie słyszałem. Jeśli można mówić o jakimś niemieckim problemie w Europie, to raczej dotyczy on umywania rąk od odpowiedzialności za to, co się dzieje. Hegemonia niemiecka jest wypierana w Berlinie przez znaczną część klasy politycznej. Mam odczucie, że Niemcy woleliby mieć silnych, twórczych partnerów, którzy by wzięli współodpowiedzialność za całość projektu europejskiego. Dzisiejsze osamotnienie Niemiec jest, w moim przekonaniu, raczej problemem dla Berlina, niż pożądaną, wspianą perspektywą. Bo to osamotnienie oznacza również osamotnienie w odpowiedzialności.

W Europie Środkowej mamy nowe problemy. Wydaje mi się, że to jest przestrzeń, w której powinniśmy z Berlinem znaleźć wspólny język i umówić się do tego, co ma oznaczać oś Północ-Południe, niż szukać podejrzliwie formułowanych powodów do niechęci. Natomiast jest prawdą, że być może nie wszyscy w Europie są zachwyceni z tego, że Polska chciałaby mieć bardziej partnerski stosunek do nich czy w ogóle wewnątrz Unii. Proszę zwrócić uwagę, że być może jest to jednak podejście nieusprawiedliwione. Oczekiwanie, że Polska będzie permanentnym biorcą, ale również milczącym elementem widowni, idzie za daleko. Nie wykluczam, że są w Europie politycy, którym byłoby wygodniej, aby Polska była tam, gdzie była w latach 90. i na początku członkostwa w Unii – zadowolonym i milczącym uczestnikiem widowni. Powtarzam, być może są takie przyzwyczajenia, nawet ktoś może szukać pretekstów do powiedzenia: polska podmiotowość jest dysfunkcyjna. W moim przekonaniu można znaleźć przykłady – Brexit, Turcja, także inne kluczowe decyzje z ostatnich miesięcy – że Polska jest częścią rozwiązania, a nie problemu.

Co do głosów o postrzeganiu Unii jako ryzyka. Mówiono o świadomości publicznej i publicznym dyskursie. Trudno mi ocenić ten problem. Na pewno zaszła zmiana, bo jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że Polska była chyba jedynym unijnym krajem, w którym politycy zajmujący poważną pozycję nie mówili krytycznie o UE. Jednak badania opinii publicznej nie potwierdzają zmiany w stosunku do Unii jako takiej. Polska wciąż jest, społecznie rzecz biorąc, na czele euroentuzjazmu czy akceptacji dla procesu integracji.

Nie umiem ocenić, czy w pewnym momencie nie zostaniemy postawieni pod ścianą przez opinię publiczną, uznającą, że należy jednak coś zrobić z tą Brukselą. Wydaje mi się to jest mało prawdopodobne, a podobne głosy uznałbym za przesadne przewrażliwienie. Oczywiście, rzeczywistość polityczna jest dynamiczna. Jeżeli Unia nie będzie wystarczająco dobrze przyjmowała uzasadnionych oczekiwań z naszego regionu – nie chodzi tylko o Polskę – to może nastąpić moment zmęczenia czy zniechęcenia. Unia musi mieć zdolność do większej adaptacji, większej inkluzji.

Padło pytanie, jak ma wyglądać adaptacja Unii do nowej rzeczywistości. Polska nie ma poczucia, że nie powinna być autorem tego projektu. Jesteśmy raczej nastawieni – czego przykładem jest przypadek brytyjski – na poszukiwanie rozwiązań, które ustabilizują sytuację polityczną. Jesteśmy w stanie dużo znieść, słuchając różnych krytycznych opinii na temat różnych aspektów integracji europejskiej. To nie oznacza, że jesteśmy w stanie przyjąć każdy rodzaj roszczenia.

Wspólny rynek jest dobrym przykładem. Tutaj sprawy zaszły daleko i Polska nie ma poczucia, że naprawdę uzasadnione są roszczenia niektórych państw członkowskich w stosunku do wspólnego rynku, w szczególności usług, aby go teraz ograniczać. Ten wspólny rynek jest niedorozwinięty, powinien być bardziej energicznie broniący.

Jednak wszelkie inne zagadnienia, w szczególności systemowe, legitymizacja, uznanie różnorodności państw – to kwestie, w których musimy być ostrożni. Owszem, z taką postawą wiąże się ryzyko – może to zaprowadzić nas do sytuacji, kiedy Unia traci ten walor, który nam pomaga. Jednak musimy wziąć udział w adaptacji Unii, chociażby po to, by obronić te aspekty, które są naprawdę kluczowe.

Relacja USA–Niemcy. Mam świadomość, jak wyglądają relacje między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską oraz w jaki sposób jest postrzegana stabilizująca rola Niemiec w Waszyngtonie (niezależnie od ekipy rządzącej w Białym Domu). To ma pozytywne konsekwencje. Jestem przekonany, że bez dość dobrego zrozumienia wzajemnych relacji między USA a Niemcami nie mielibyśmy tak korzystnej sytuacji w kwestiach energetyki czy sankcji wobec Rosji. Gdyby Europa zerwała tę ważną więź, to na własną rękę skazałaby się na scenariusze mniej odważne i ambitne.

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że są inne źródła obecnych kryzysów. To nie Warszawa je wywołuje. One mają obiektywne źródło. Nie chcę nikogo wskazywać palcem, bo nikt w tych kwestiach nie zawinił. Ujawniły się po prostu pewne dysfunkcje, wraz z problemami, które przysły do nas ze świata zewnętrznego. Warszawa będzie starała się być częścią odpowiedzi we wszystkich tych sprawach. Jeżeli odejdziemy od analizy retorycznej, utrzymanej w klimacie psychologii podejrzeń, i skupimy się na faktach politycznych, na tym, w jaki sposób polski rząd się zachowuje na szczytach europejskich i na radach sektorowych, to będziemy mieli bardziej spokojny i przewidywalny obraz tego, co naprawdę dzieje się w polskiej polityce europejskiej.

Noty biograficzne

Krzysztof Blusz (ur. 1962) – współtwórca i prezes fundacji demosEUROPA – Centrum Strategii Europejskiej. Ekspert w dziedzinie stosunków międzynarodowych i kwestii europejskich, wykładał na Uniwersytecie Łódzkim oraz w King's College Uniwersytetu Londyńskiego.

Małgorzata Bonikowska (ur. 1970) – specjalistka w dziedzinie stosunków międzynarodowych i komunikacji w instytucjach publicznych, od 2013 roku prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych. Partner zarządzający w ośrodku THINKTANK. W latach 2001–2008 ekspertka Komisji Europejskiej i szefem Programu Informacji i Komunikacji KE w Polsce, a potem w Bułgarii.

Piotr Buras (ur. 1974) – dyrektor warszawskiego biura European Council on Foreign Relations (ECFR). Były pracownik Centrum Stosunków Międzynarodowych w Warszawie, Instytutu Studiów Politycznych PAN oraz Centrum im. Willy Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Wieloletni publicysta „Gazety Wyborczej”, ekspert od spraw niemieckich.

Ludwik Dorn (ur. 1954) – polityk, socjolog i publicysta. Działacz Komitetu Obrony Robotników, a następnie „Solidarności”. Współzałożyciel i od 1992 roku wiceprezes Porozumienia Centrum. Współzałożyciel i w latach 2001–2007 wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości, w 2010 roku członek Polski Plus. W latach 2011–2014 członek Solidarnej Polski. Od 1997 roku poseł na Sejm. W latach 2005–2007 wicepremier oraz minister spraw wewnętrznych i administracji. W 2007 roku marszałek Sejmu.

Leszek Jażdżewski (ur. 1982) – redaktor naczelny „Liberté!” (liberalnego kwartalnika idei, portalu i think tanku). Publicysta i komentator, m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Polityce”, „Wprost”, TOK FM, TVP. Absolwent Marshall Memorial Fellowship. Znalazł się w gronie 25 liderów na kolejnych 25 lat wytypowanych przez „Teraz Polska”.

Jerzy M. Nowak (ur. 1937) – dyplomata, wieloletni pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Był ambasadorem RP przy NATO i Unii Zachodnioeuropejskiej, a także w Hiszpanii i Andorze. W latach 2007–2010 prezes Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego.

Konrad Szymański (ur. 1969) – polityk i prawnik, od 2015 sekretarz stanu ds. europejskich w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP. W latach 2004–2014 poseł do Parlamentu Europejskiego (Prawo i Sprawiedliwość). Od 2002 do 2009 redaktor naczelny dwumiesięcznika „Międzynarodowy Przegląd Polityczny”.

Eugeniusz Smolar (ur. 1945) – współpracownik Polskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych, ekspert i były prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych. Od 1975 roku dziennikarz Sekcji polskiej BBC, od 1982 wicedyrektor, zaś od 1988 do 1997 roku dyrektor sekcji. W latach 1998–2002 roku członek zarządu Polskiego Radia. Od 2002 do 2004 był roku jego dyrektor programowy.

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta, zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku (Institut für die Wissenschaften vom Menschen) w Wiedniu; członek International Forum Research Council w Waszyngtonie; członek Rady Dyrektorów Institute for Human Sciences przy Boston University; w latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza

Mazowieckiego, w latach 1992–1993 doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Prezes Fundacji Batorego od 1990 roku.

Adam Traczyk – ekspert ds. międzynarodowych, współzałożyciel i prezes Fundacji Global.Lab. Stypendysta Międzynarodowego Stypendium Parlamentarnego Bundestagu, były pracownik Fundacji im. Friedricha Eberta i Ambasady RP w Berlinie.

Katarzyna Żukrowska (ur. 1949) – ekonomistka i politolog, prof. dr hab. Specjalista od stosunków międzynarodowych gospodarczych i politycznych. Kierownik Katedry Bezpieczeństwa Międzynarodowego Szkoły Głównej Handlowej. W latach 2006–2008 doradca ds. nauki w Komisji Europejskiej.

Fundacja im. Stefana Batorego

Sapieżyńska 10a
00-215 Warszawa
tel. (48-22) 536 02 00
fax (48-22) 536 02 20
batory@batory.org.pl
www.batory.org.pl

Teksty udostępniane na licencji Creative Commons. Uznanie autorstwa na tych samych warunkach 3.0 Polska (CC BY SA 3.0 PL)



ISBN: